GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1937 R.

Nr. 20 ROK VII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 20

1937 R.

1 — XI

FRANCISZEK KOZŁOWSKI

PLANOWANIE INWESTYCYJ

Plany inwestycyjne służą wielorakim celom gospodarczym.
Od zespołu przyjętych celów zależeć powinna hierarchja potrzeb inwestycyjnych zaspakajanych przez plan i sposób ich sfinansowania.

Tradycje polityki inwestycyjnej zarówno polskiej, jak i innych krajów, mających dłuższą przeszłość niepodległościowego bytu za sobą, są niebogate. W gruncie rzeczy możnaby nawet zakwestionować, czy liberalne ustroje gospodarcze wieku XIX-go prowadziły coś odpowiadającego dzisiejszemu pojmowaniu polityki inwestycyjnej. Nie tkwi w tem oczywiście żaden zarzut. Warunki były inne, cele były inne, państwo nie pretendowało do roli kierowniczej w życiu gospodarczym, zadawalniając się najczęściej rolą stróża nocnego.

Nie znaczy to, aby państwa XIX-go wieku inwestowały mało. Wręcz przeciwnie, olbrzymie inwestycje komunikacyjne (drogi, kanały, koleje), melioracje na wielką skalę, gmachy publiczne i wojskowe, kosztowne i obszerne, słowem to wszystko, co już na pierwszy rzut oka odróżnia zainwestowany zachód od niedoinwestowanej Europy Środkowej, jest przecież głównie dziełem państwa. Mniejszą rolę odgrywało państwo w rozbudowie przedsiębiorstw wytwórczych. Ale i w tej dziedzinie znajdujemy gdzie nie gdzie ślady inwestycyj państwowych, i to takie, które wzburzyłyby naszą Komisję do Badania Przedsiębiorstw Państwowych. Boć oczywiście fabryki broni, to jeszcze w porządku. Huty żelazne — (nasz Okręg Centralny miał jednak swego prekursora w Lubeckim) — to już gorzej. Ale np. fabryki porcelany, wynik artystycznych zainteresowań monarchów absolutnych, bezkrytycznie kontynuowany przez nowoczesne państwo, — toć to bardziej jeszcze gorszące zajęcie, niż produkcja wódek zamkowych.

Finansowano te inwestycje rozmaicie. Czasem ze szczupłych bieżących dochodów skarbowych, czasem z nadwyżek budżetowych, czasem z pożyczek wewnętrznych, czy zagranicznych. Bez doktryny. Bez planu inwestycyjnego.

Równolegle do inwestycyj publicznych szły sobie inwestycje prywatne. Często zupełnie samorzutne, nieraz przy kredytowej pomocy państwa, kiedy indziej pod ochroną ceł — ceł o takim poziomie, który czasami napotkać możemy we współczesnych taryfach celnych w postaci... zniżki celnej, udzielonej jakiemuś bardzo ważnemu kontrahentowi.

I znowu brak było doktryny. Nie było linii demarkacyjnej pomiędzy inicjatywą prywatną, a publiczną działalnością inwestycyjną. Nie traktowano nawet problemu inwestycyjnego jako pewnej *całości*. Poszczególne działania inwestycyjne wynikały po prostu z tradycyjnego zakresu obowiązków państwa. Sprawa dróg, jak sprawa koszar, czy siedziby władz administracyjnych rozumiała się sama przez się. Pojawiały się nowe zadania, związane z rozwojem życia gospodarczego — podejmowano je i rozwiązywano równie incydentalnie, choć wydajnie i skutecznie.

Rewolucja przemysłowa i komunikacyjna XIX wieku dała szybki postęp urbanizacji, wzrost zamożności,

zmniejszenie śmiertelności, co wszystko razem kolosalnie zwiększyło rynki zbytu dla rolnictwa, stworzyło potrzebę intensyfikacji produkcji rolniczej. Państwa XIX wieku *znalazły* środki na przeprowadzenie scalenia tam, gdzie ono było potrzebne, na zmeliorowanie gruntów, ba, nawet na szeroką akcję kolonizacji wewnętrznej. Ekspansja kolonialna i wzrost zapotrzebowania na surowce oraz poszukiwanie nowych rynków zbytu postawiły na porządku dziennym problem komunikacji transoceanicznej. Państwa XIX-go wieku *znalazły* środki na subwencjonowanie linii okrętowych, na rozbudowę portów w koloniach, itd. itd. Nie mnożę dalej przykładów.

Jasne jest przecie, że brak planowości w inwestycjach państwowych XIX-go wieku, nie przeszkodził bynajmniej podjęciu i wykonaniu przez państwo głównych, zrodzonych przez rozwój gospodarczy zadań. Jasne jest także, że brak doktryny zarówno pod względem zakresu działalności inwestycyjnej państwa, jak pod względem sposobu sfinansowania inwestycyj możliwy był bez uszczerbku dla życia gospodarczego dlatego, iż sfinansowanie inwestycyj publicznych nie nastręczało większych trudności i że równolegle do działalności inwestycyjnej państwa trwała żywa działalność inwestycyjna prywatna. Doktryna i planowość były poprostu zbędne przy wysokiej zdolności kapitalizacyjnej gospodarki XIX-wiecznej, przy szerokim polu dla rentownej lokaty kapitału. Państwo szło za życiem. Mogło iść za nim, bo życie toczyło się prędko, narzucając państwu zadania wyraźnie określone, a jednocześnie dostarczając materialnej możności dla rozwiązania tych zadań.

W ostatnich latach sytuacja uległa radykalnej zmianie. Od niedawna w Polsce — dawniej w niektórych innych państwach — stoi na porządku dziennym postulat planowości inwestycyj, postulat ujęcia działań inwestycyjnych państwa w jedną zamkniętą i shierarchizowaną całość, przeprowadzenia właściwej linii demarkacyjnej pomiędzy tą działalnością a inwestycjami prywatnemi, zakreślenia właciwej, choć możliwie szerokiej skali dla działalności inwestycyjnej i znalezienia najwłaściwszych form sfinansowania.

Skąd płyną te dążenia? Z dwóch źródeł.

Pierwsze z nich — to niedostatek środków dla zaspokojenia potrzeb inwestycyjnych poszczególnych dziedzin administracji państwowej. Jest to niewątpliwie motyw wcześniejszy historycznie i działający z większą siłą. Mówi się, iż kartele są dziećmi nędzy. Napewno słuszniejsze byłoby powiedzenie, iż planowość jest dzieckiem nędzy. Sądzę, że historia gospodarcza nie dostarczyłaby nam wielu przykładów planowania w okresach obfitości dóbr gospodarczych, silnego wzrostu dochodu społecznego, wysokiej stopy życiowej. Być może, że ktoś potrafiłby udowodnić, że prosperity byłaby w tych okresach jeszcze większa, gdyby gospodarka była bardziej planowana. Nikt jednak nie potrafi uzasadnić, iż w takich okresach istnieje chęć do planowania gospodarki. To też tendencje planowania inwestycyj pojawiają się i występują z największą mocą w krajach ubogich, krajach spóźnionych w rozwoju gospodarczym, krajach, krótko mówiąc, w których środki materialne nie mogą sprostać obfitości potrzeb inwestycyjnych.

Drugim źródłem tendencji planowania inwestycyj jest sprawa zupełnie innego rzędu, innej że się tak wyrazimy rangi. Działalność inwestycyjną państw XIX-go wieku cechowała jak to powiedzieliśmy wyżej swego rodzaju bierność, w stosunku do życia, marsz jego śladami. Było to możliwe w okresie, kiedy dochód społeczny szybko wzrastał, kiedy kryzysy były rzadkie i niezbyt głębokie. Dziś jednak sprawa przedstawia się zupełnie odmiennie. W szeregu krajów trzeźwa analiza sytuacji bieżącej i perspektyw rozwojowych doprowadza do wniosku, że trzeba się liczyć z niskim poziomem nie tylko bieżącego, lecz i przyszłego dochodu społecznego. Chyba, że się przedsięweźmie jakieś śmiałe, na szeroką skalę zakrojone działanie, stwarzające podstawę dla wygospodarowania w przyszłości większego dochodu. Jeszcze częściej, w jeszcze większej liczbie krajów zagadnienie planu inwestycyjnego staje się wykładnikiem innej koncepcji polityczno-gospodarczej, koncepcji oddziaływania na przebieg koniunktury.

Stąd też plany inwestycyjne budowane w poszczególnych państwach mimo, iż dotyczą tego samego przedmiotu, mogą zajmować zupełnie różne miejsce w zespole działań polityczno-gospodarczych danego kraju. Mogą być tylko środkiem porządkowym, zmierzać tylko do shierarchizowania i uporządkowania wydatków inwestycyjnych państwa, mogą stanowić środek polityki koniunkturalnej i wreszcie mogą być elementem koncepcji strukturalnych.

Oczywiście jest to podział tylko logiczny, gdyż zazwyczaj planowaniu inwestycyj przypada dwojaka lub trojaka rola. Tem niemniej z mniejszego lub większego nacisku na dany punkt widzenia wynika szereg różnic odnośnie jego budowy, sposobu sfinansowania, itp. Skromne plany inwestycyjne, ograniczone do roli scałkowania i shierarchizowania niezbędnych prac inwestycyjnych państwa z natury rzeczy zawierają bardzo znaczny odsetek inwestycyj nierentownych i to w szerokim znaczeniu tego słowa, t. zn. inwestycyj konsumcyjnych o małej lub żadnej rentowności społecznej jak np. budynki rządowe. Tego rodzaju poczynania inwestycyjne w małej tylko mierze mogą być opierane o kredyt, a w zasadzie powinny być finansowane z dochodów budżetowych. W planie tego rodzaju kryterium dla ustalenia hierarchji poszczególnych poczynań nie może być wyprowadzone z jakiejś koncepcji ogólno-gospodarczej, lecz w bardzo wysokiej mierze uwzględniać musi założenie ciągłości w pracy danego resortu.

Plan inwestycyjny budowany pod kątem koniunktury, a więc mający zarówno gospodarcze jak socjalne cele, musi oddawać pierwszeństwo takim poczynaniom inwestycyjnym, które nie tylko przyczynić się mogą do wzrostu dochodu społecznego, ale ponadto w szczególnie korzystny sposób dzielą tę cząstkę dochodu społecznego, która skierowana zostanie na inwestycje. Będą to zatem inwestycje, w których koszt robocizny niewykwalifikowanej stanowi szczególnie znaczny odsetek, przy których liczba zatrudnionych będzie szczególnie znaczna, a stawki płac niewysokie.

Najbardziej złożone kryteria potrzebne są dla budowy planu wtedy, gdy aspiruje on do spełnienia

długofalowej roli. Wtedy bowiem staje się w obliczu problemu, czy można i należy środki publiczne koncentrować głównie na inwestycjach o rentowności pośredniej, czy też w interesie gospodarstwa społecznego należy właśnie możliwie szeroko wykorzystywać plan inwestycyjny dla tworzenia nowych warsztatów wytwórczych.

Wtedy również zjawia się jeszcze jedno szczególnie trudne zagadnienie. Czy w pierwszej kolejności usuwać te luki w elementarnym uzbrojeniu inwestycyjnym kraju, które są wynikiem zaniedbań okresu zaborczego, i następnie dopiero przystępować do takich nakładów inwestycyjnych, które normalnie, w klasycznym przebiegu historii gospodarczej zjawiają się dopiero później, czy też odwrotnie, inwestować się odrazu na stopę nowoczesną, kosztem zwężenia zakresu inwestycyj? Wtedy również powstaje kwestia, czy plan inwestycyjny powinien liczyć się z istniejącą strukturą produkcji i jej obecnym układem geograficznym, czy też powinien z góry antycypować dążenie do zmiany w strukturze produkcji i w jej lokalizacji?

Nasz plan inwestycyjny urodził się pod znakiem wszystkich trzech potrzeb, przyczem opinia akcentowała głównie nadzieje na jego wpływ koniunkturalny, natomiast światek fachowy cieszyła przede wszystkim próba shierarchizowania i uporządkowania działalności inwestycyjnej Państwa. Było prawdziwą niespodzianką dla większości, iż aspekt strukturalnego wpływu naszego planu inwestycyjnego w postaci stworzenia centralnego okręgu przemysłowego wypadł tak efektownie. W jakim jednak kierunku możemy i musimy iść nadal? Stoimy przecież przed budową nowego planu inwestycyjnego.

Plan inwestycyjny na rok 1938 w znacznej mierze traci charakter narzędzia polityki koniunkturalnej. Wprawdzie i dziś jeszcze istnieje kierunek poglądów, stojący na stanowisku, że wobec naszego opóźnienia w rozwoju koniunktury i niewysokiego dotychczas osiągniętego poziomu, celowe jest dalsze działanie „nakręcające" koniunkturę, celowe jest rozszerzenie skali robót publicznych, opartych o operacje kredytowe. Niewątpliwie jednak nawet z punktu widzenia zwolenników tego kierunku polityki gospodarczej zadania koniunkturalne planu inwestycyjnego są w roku przyszłym zupełnie odmienne i niepomiernie mniejsze niż w okresach depresji. Od strony polityki koniunkturalnej większe już znaczenie przypisywać by można było temu, że zaniechanie inwestycyj, wycofanie się państwa z rynku pieniężnego, może na skutek niedostatecznego rozwoju operacyj z innymi poza państwem kredytobiorcami prowadzić do powolniejszego tempa obrotu kredytowego, do wzrostu rezerw kasowych i do deflacyjnych konsekwencyj. Trzeba zważyć również, iż zyskuje na sile i popularności ten kierunek poglądów, który uważając za główne zadanie państwa niwelowanie wahań koniunkturalnych, domaga się przystąpienia do gromadzenia rezerw i zaniechania działań podniecających życie gospodarcze, aby przejście do depresji odbyło się w sposób łagodniejszy. Niewątpliwie też — nie podzielając nawet w pełni tego poglądu — musi się przyznać, iż z każdym miesiącem w miarę zbliżania się możliwości załamania koniunktury, w miarę mnożenia się niepomyślnych symptomów koniunktury światowej, argumenty tego kierunku myślenia zyskują na słuszności i znaczeniu.

Integralnie z zagadnieniami koniunktury związany problem socjalnych efektów planu inwestycyjnego przybiera również odmienną postać. Z chwilą pokaźnego wzrostu zatrudnienia w szeregu ośrodków przemysłowych nie sposób już przywiązywać takiej wagi, jak poprzednio, do sprawy rozładowania bezrobocia w ośrodkach jego głównego nasilenia. Wiele z tych ośrodków doznało bardzo wydatnej ulgi, natomiast tem wyraźniej zarysowuje się zagadnienie bezrobocia wiejskiego, rozłożonego wprawdzie równomierniej terenowo, ale za to stanowiącego niestety problem, wychodzący poza ramy zagadnień koniunkturalnych.

Nie analizując tych zagadnień dalej, możemy chyba jednak stwierdzić, iż przy budowie planu inwestycyjnego na rok 1938 momenty związane z koniunkturą ustępują na drugi plan i że można oddać pierwszeństwo tym kryteriom, które wynikają z pojmowania planu inwestycyjnego jako narzędzia hierarchizującego zaspokojenia potrzeb inwestycyjnych państwa wynikających z jego bieżącej działalności, oraz jako narzędzia przebudowy strukturalnej.

Oczywiście rozróżnienie tych dwóch punktów widzenia jest nieco sztuczne, gdyż w wielu wypadkach przedmiotem działalności administracyjnej może być właśnie nie co innego, jak usuwanie pewnych niedomagań strukturalnych. Cechę tę posiadają w wysokiej mierze np. inwestycje podejmowane w związku z akcją przebudowy ustroju rolnego, lub np. w związku z rozbudową portów polskich.

Pomimo pewnej sztuczności tego rozumowania można sobie jednak postawić pytanie, czy w ramach planu inwestycyjnego na rok 1938 możliwe jest dążenie do tego, aby plan ten w wyraźniejszy sposób i w większej skali pokusił się o realizację jakichś szerszych koncepcyj przebudowy strukturalnej? Odpowiedź na to pytanie jest raczej negatywna. Wydaje się niemożliwe liczyć na wielki wzrost sum, przeznaczonych na plan inwestycyjny. Jak kolwiek wielką wagę przywiązuje się do celów strukturalnych, wydaje się niewątpliwe, że w praktyce dopiero nacisk sytuacji koniunkturalnej może skłonić — czy, jeśli ktoś woli, — legitymować mobilizację poważniejszych znacznie sum na cele inwestycyj publicznych. Skoro zaś, jak wspomnieliśmy wyżej, momenty koniunkturalne w tej chwili nie grają w płaszczyźnie planu inwestycyjnego dostatecznie wielkiej roli — wielki rozrost planu inwestycyjnego wydaje się nieprawdopodobny.

Otóż w ramach skromnego planu inwestycyjnego, planu niewiele odbiegającego od rozmiarów zeszłorocznych, mamy już tak jak w naszym budżecie państwowym — do czynienia z przewagą pozycyj opancerzonych. Pozycje te wynikają bądź to z realizowania przez poszczególne resorty pewnych wieloletnich, mających swą tradycję i trwałą celowość zadań, bądź też z potrzeb związanych z zagadnieniem obronności. Jeśli w planie 1937-go roku udało się uzyskać dość wyraźne efekty strukturalne, to wynikło to stąd, iż istniała zbieżność pomiędzy gospodarczymi celami strukturalnymi a celem zwiększe-

nia obronności (Centralny Okręg Przemysłowy). Podobnie bez wątpienia będzie się przedstawiała sprawa w roku 1938. Plan inwestycyjny da o tyle efekty strukturalne, o ile *cele* strukturalnej przebudowy tkwią czy tkwić będą w trwałej polityce resortowej, rodzącej potrzeby inwestycyjne. Błędem byłoby sobie wyobrazić natomiast, iż niejako in plus tej polityki, ponad jej głową, poprzez plan inwestycyjny, będzie można zmierzać do przebudowy strukturalnej.

W świetle rozważań powyższych i w świetle doświadczeń tegorocznych bardzo wyraźnie uwypukliła się papierowość sporu, jaki zawiązał się w roku ubiegłym w okół zagadnienia planu inwestycyjnego. Oczywiście plan nie zrealizował i nie zrealizuje w okresie najbliższym aspiracyj tych, którzy chcieliby w nim widzieć polski odpowiednik sowieckiej piatiletki. Tem bardziej jednak występuje na jaw brak jakich kolwiek podstaw dla tych ataków, które na koncepcję jednolitego planu inwestycyjnego były skierowane w imię walki z etatyzmem, z inflacją itd. itd.

Metoda inwestowania w ramach jednolitego planu nie zapewniła nam, bo nie mogła zapewnić, przewrotu w życiu gospodarczym, natomiast jest wyraźnie wyższą, korzystniejszą formą pracy.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

TEORIA WIELKICH ROBÓT

Doświadczenie wielu krajów europejskich w zakresie ekonomiki kierowanej i finansowania inwestycyj w drodze inflacji kredytowej pozwala już na sformułowanie zarysu teorii tego typu finansowania inwestycyj.

Według klasycznej (liberalnej) teorii ekonomicznej inwestycje mogą być robione jedynie z zaoszczędzonych dochodów przeszłych. W praktyce życiowej zaoszczędzony dochód ma postać płynnych kapitałów pieniężnych i rozmiary tych nagromadzonych kapitałów decydują o możliwościach inwestycyjnych, oczywiście w ramach określonych ponadto istniejącym w danym momencie poziomem techniki wytwarzania i rozmiarami zasobów oraz produkcji niezbędnych tworzyw.

Rozumowanie to traktuje świat jako całość. I jeśli w danym punkcie globu nie istnieje płynny kapitał, to można go przenieść z innego punktu, od jednej jednostki gospodarczej do drugiej, względnie z jednego gospodarstwa narodowego do drugiego. Jest to pożyczka. Jeśli dana jednostka gospodarcza lub gospodarstwo narodowe posiada własny kapitał pieniężny, to dodatkowy dochód z nowych inwestycyj nie jest obciążony żadnymi zobowiązaniami i w całości powiększa konsumcję oraz ewentualną kapitalizację danej jednostki gospodarczej lub gospodarstwa narodowego. Jeśli jednak na wykonanie inwestycji została zaciągnięta pożyczka, to dochody z tej inwestycji zostają obciążone na długie nieraz lata spłatą pożyczki oraz jej oprocentowaniem. Słowem *pożyczka obciąża dochody przyszłe.* W szczególności pożyczka zagraniczna obciąża dochody przyszłe gospodarstwa narodowego, traktowanego jako całość, niezależnie od tego, czy została ona zaciągnięta przez jednostkę prywatną, samorząd czy państwo. Z tych względów rozmiary zaciąganej pożyczki zależą od możliwości wyprodukowania dostatecznie dużego dochodu dodatkowego, o ile oczywiście pożyczka ma być istotnie spłacona.

W gruncie rzeczy zatem realne możliwości inwestycyjne zależą od zdolności wyprodukowania w danym miejscu i czasie tego dodatkowego dochodu, czyli wytworzenia wielkiej ilości dóbr (pożyczkę zagraniczną płaci się eksportem), a to zależy od posiadania tworzyw i od umiejętności *człowieka* posługiwania się tworzywem oraz narzędziami pracy. Kapitał pieniężny jest jedynie rozrusznikiem pracy. Teoria liberalna zakłada, że tym rozrusznikiem może być jedynie dochód skapitalizowany i to w formie pieniężnej.

Nowoczesna ekonomia głosi, że inwestycje mogą być *sfinansowane* z dochodów przyszłych. Wyrażenie to jest nieścisłe. Powstało ono dla przeciwstawienia się założeniu ekonomii klasycznej, która zezwala na finansowanie inwestycyj z dochodów skapitalizowanych w przeszłości.

Powinniśmy tu odróżnić pojęcia *wykonywania* inwestycyj od *finansowania* inwestycyj. Teoria liberalna identyfikuje te pojęcia. Tymczasem finansowanie oznacza jedynie technikę operowania środkami płatniczymi. Natomiast wykonywanie inwestycyj to operowanie tworzywem, narzędziami i ludźmi. Otóż dla wykonania inwestycyj wcale nie trzeba nagromadzić naprzód kapitału rzeczowego w postaci materiałów i maszyn. Zaczyna się je wytwarzać w potrzebnej ilości dopiero wtedy, gdy się podejmuje inwestycje. To znaczy, że wykonywa się inwestycje w lwiej części z dochodów *bieżących,* specjalnie na ten cel wytwarzanych. *Jedyne co musi być nagromadzone, to kapitał ludzkich umiejętności,* który to kapitał rośnie w miarę tego, jak się pracuje, w przeciwieństwie do pieniędzy, których ilość w miarę postępu robót zmniejsza się.

W istocie rzeczy wtedy, gdy się mówi o finansowaniu inwestycyj z dochodów przyszłych, to ma się na myśli stworzenie owego rozrusznika dla dokony-

wania inwestycyj nie drogą powolnej kapitalizacji pieniężnej, lecz przez wprowadzenie t. zw. sztucznej siły nabywczej, inaczej — w drodze inflacji środków płatniczych. Dlaczegoż więc w ogóle mowa o dochodach przyszłych? *Dlatego, że finansowanie inwestycyj w drodze inflacji kredytowej tak samo obciąża dochody przyszłe jak pożyczka* i tak samo przeto musi być kalkulowane w zakresie rentowności, amortyzacji i oprocentowania.

Inflacja kredytowa na cele inwestycyjne jako operacja finansowa jest identyczna z pożyczką zagraniczną w tym sensie, że wprowadza na rynek dodatkową zdolność nabywczą, kardynalnie się jednak różni od pożyczki zagranicznej tem, że wymieniona dodatkowa zdolność nabywcza dotyczy wyłącznie rynku wewnętrznego, zaś na rynkach zagranicznych zupełnie nie działa. Okoliczność ta określa granice inflacji kredytowej. Suma dodatkowej zdolności nabywczej nie może być większa, niż istniejąca niewyzyskiwana w danym momencie zdolność wytwórcza danego gospodarstwa narodowego. Inaczej — dodatkowy popyt powinien być zharmonizowany z możliwą dodatkową podażą.

Stwierdzenie powyższe ma doniosłą wagę: obala ono prymitywne obawy, wyrosłe na tle hyperinflacji pieniężnej o rosnącej lawinie nowych środków pieniężnych, przed wkroczeniem na drogę finansowania inwestycyj przez inflację kredytową. Inflacja pieniężna, wywoływana nadwyżką wydatków budżetowych nad dochodami jest czemś zupełnie różnym od inflacji kredytowej, nie wymagającej nota bene koniecznie drukowania pieniędzy. Exemplum Rzesza Niemiecka. Identyfikowanie inflacji kredytowej z inflacją pieniężną jest albo nieuctwem albo złą wolą, albo jednym i drugim jednocześnie.

Samo jednak określenie globalnej wysokości uruchomionego kredytu inflacyjnego na cele inwestycyjne nie wystarcza. Ponieważ kredyt inflacyjny nie może być zużyty na zakupy zagraniczne, to podjęte inwestycje muszą być wykonywane w ramach samowystarczalności gospodarstwa narodowego. Praktycznie nie jest to nigdy w pełni możliwe. Część środków inwestycyjnych musi być importowana z zagranicy. Tu powstaje szereg praktycznych trudności. Realizowanie bowiem inwestycyj powoduje wzrost konsumcji rynku wewnętrznego, co zmniejsza nadwyżki eksportowe i stwarza dodatkowe zapotrzebowanie na towary importowane. Ratować się można po przez kompresję importu nie związanego z wykonywaniem planu inwestycyjnego, lecz bądź co bądź tkwi tu jeszcze jeden moment ograniczający inwestycje, a tem samem i rozmach całej operacji. Słowem zdecydowanie się na finansowanie inwestycyj w drodze inflacji kredytowej musi pociągać za sobą autarkizację danego gospodarstwa narodowego. Chyba, że zagranica udzieli pożyczki na zakupy, które mogą być dokonane jedynie zagranicą.

Realność powziętego planu zależy oczywiście od stałości cen towarów używanych przy wykonywaniu inwestycyj. Przyjęliśmy wprawdzie założenie, że stworzony drogą inflacji kredytowej dodatkowy popyt odpowiada dodatkowym możliwościom podaży, lecz musimy liczyć się z tem, że nie jest rzeczą możliwą skoordynowanie dodatkowego popytu z możliwościami podaży we wszystkich szczegółach i szczególikach. Naruszenie równowagi jest nieuniknione, trzeba więc nad nim czuwać. Niezbędna staje się zatem reglamentacja cen.

Stwierdziliśmy, że uruchomiona dodatkowa zdolność nabywcza musi odpowiadać niewyzyskanym zdolnościom produkcyjnym istniejących warsztatów pracy i ludzi. Okoliczność ta zachodzi w czasie kryzysu. Im głębszy jest spadek produkcji, tem większy może być rozmiar uruchomionych kredytów inflacyjnych, oczywiście stosunkowo, gdyż chodzi jeszcze o absolutne rozmiary zdolności wytwórczej istniejącego aparatu produkcyjnego. Im bardziej jest kraj uprzemysłowiony, tem większe ma możliwości wykonywania określonych zadań materialnych, i tem większe może uruchamiać środki finansowe. Polska więc np. nie może uruchomić tyle miliardów, co Niemcy. Proporcja jest tu określona zdolnością produkcyjną.

Wynikało by z tego, że ideałem koniunkturalnej polityki gospodarczej było by podejmowanie przez państwo wielkich inwestycyj w czasie depresji i wycofywanie się z nich w czasie wysokiej koniunktury. Wycofanie się to jest potrzebne, gdyż podczas wysokiej koniunktury czynniki prywatno - gospodarcze same dokonywują inwestycyj w swych warsztatach, zwiększają więc ogólną zdolność wytwórczą danego gospodarstwa narodowego, co w konsekwencji prowadzi do rozszerzenia możliwości inwestycyj państwowych w następnej fazie depresji.

Tak np. jeśli produkcja przy pełnym zatrudnieniu warsztatów w 1928 r. była 100, a dno kryzysu było 50, to rozmiar inwestycyj publicznych mógł wynosić 50. Jeśli w fazie obecnej koniunktury produkcja dzięki nowym inwestycjom osiągnie 120, to zakładając spadek w następnej fazie depresji ponownie o połowę, będziemy mieli możność podjęcia wówczas inwestycyj w rozmiarze 60. Oczywiście jest to wskaźnik jedynie orientacyjny, bardzo daleki od ścisłości, gdyż zdolności wytwórczej gospodarstwa narodowego określić ściśle nie można, a pozatem nie jest to wielkość stała.

Jak powiedzieliśmy, byłaby to idealna polityka koniunkturalna, zwłaszcza wtedy, gdyby mechanizm przerzucania z jednego typu polityki i organizacji działalności gospodarczej na drugi był prosty i łatwy, a proces przerzucania się dokonywał się szybko. W praktyce, jak wiadomo, tak nie jest. Ponadto system finansowania inwestycyj drogą stwarzania dodatkowej siły nabywczej można stosować również i w warunkach nie kryzysowych, z tą świadomością, że nie funkcjonuje on wówczas tak sprawnie i jest trudniejszy organizacyjnie i politycznie. Dodać jeszcze należy, że system ten nigdy nie istnieje w czystej formie, gdyż w wypadku jego stosowania przyciągnięte zostają dobrowolnie lub przymusowo istniejące kapitały pieniężne, reprezentujące nagromadzony dochód przeszły (t. zw. drenowanie rynku).

W razie podjęcia wielkich inwestycyj w okresie

nie kryzysowym stają się niezbędne znacznie głębsze zarządzenia reglamentacyjne w stosunku do prywatnego życia gospodarczego, a mianowicie sięgnąć one muszą do reglamentacji prywatnych lokat kapitałowych oraz konsumcji. Słowem typowa gospodarka wojenna, tem bardziej, że uzasadnienie podobnej decyzji w praktyce tkwi przeważnie we względach natury wojennej, podczas gdy w inwestycjach kryzysowych występują wybitnie momenty społeczne — danie zatrudnienia bezrobotnym.

Jedno i drugie są to wypadki krańcowe. Mogą bowiem być takie sytuacje, gdy koniunktura ma tendencję zwyżkową, ale aparat wytwórczy nie jest w pełni wykorzystany, istnieje dość duża płynność finansów, panuje stałe strukturalne bezrobocie, a cały szereg potrzeb kraju zarówno gospodarczych jak i wojennych nie jest zaspakajany. Na zaspokojenie tych potrzeb w mniej więcej przyzwoitych rozmiarach drogą narastania kapitalizacji pieniężnej w sposób klasyczny trzeba długo czekać, pożyczki zagranicznej nikt dać nie chce, a okoliczności nie pozwalają długo czekać.

Taka jest właśnie sytuacja Polski, sytuacja wybitnie skomplikowana, gdyż nie można powiedzieć, by pewne podkręcanie koniunktury było zupełnie zbyteczne. Momenty społeczne nie przestały istnieć, względy obronne domagają się realizowania całego szeregu inwestycyj, potrzeba rozwoju dróg jest duża, a równocześnie nie można hamować procesów inwestycyjnych w prywatnych przedsiębiorstwach. W planie inwestycyjnym trzeba zatem uwzględniać ogromną ilość sprzecznych ze sobą celów i punktów widzenia, co jest tem trudniejsze, że rozmiary planu właśnie wskutek dobrej koniunktury nie mogą być duże i że ta dobra koniunktura nie pozwala na stosowanie właściwej inflacji kredytowej.

*
* *

Kończąc powyższe uwagi, będące próbą teoretycznego ujęcia doświadczeń cywilizowanego świata w zakresie ekonomiki kierowanej w latach ostatnich, stwierdzamy raz jeszcze, że finansowanie inwestycyj kredytem inflacyjnym jest udzieleniem przez gospodarstwo narodowe samemu sobie pożyczki, którą należy oprocentować i zamortyzować, mimo, że nikt nie będzie domagał się zwrotu tej pożyczki. Wymaga to dużej samodyscypliny ze strony państwa i dyscypliny ze strony narodu. Co w praktyce nie jest do osiągnięcia bez stosowania przymusu lub szeroko zastosowanej propagandy.

Ten typ finansowania inwestycyj jest w kolizji z interesami przedstawicieli lotnego kapitału finansowego, gdyż pozbawia ten kapitał zysków, jakie czerpali z zaspokojenia potrzeb społecznych, gospodarczych i militarnych różnych organizmów państwowych. Dlatego najprzód starano się udowodnić naukowo, iż ów system jest sprzeczny z prawami ekonomicznemi, a tem samym niemożliwy do zrealizowania.

Ponieważ życie obaliło te twierdzenia, to argumentacja nieco się zmieniła. Mianowicie ochrzczono formy organizacyjne, niezbędne przy opisywanej formie finansowania inwestycyj, mianem totalizmu, dodając do tego przymiotnik — pogański. Za pretekst do stosowania tego przymiotnika posłużyły próby niektórych ideologów hitleryzmu wskrzeszania religii starogermańskiej, nie mające nic wspólnego ze sprawami gospodarczemi.

W Polsce jak wiadomo ludzie strasznie boją się słów, zwłaszcza takich, których nie rozumieją. Przykładem jest klasyczny (nie w znaczeniu — liberalny) „sufragan". Przeto ów straszak pogańskiego totalizmu działa. Warto byłoby jednak tych „obrońców chrześcijaństwa" zapytać, czy uważają oni, że nasza „polska nędza" i niedostateczna obronność jest cnotą chrześcijańską, którą należy konserwować?

Trzeba sobie wyraźnie uświadomić o co właściwie chodzi. Czasami nie jest to łatwe w warunkach ogromnej ilości różnych ideologicznych sformułowań, mających na celu albo oddziaływanie na uczucia mas albo też przykrywanie zasłoną dymową tych realnych celów, do których się dąży.

Są dwa punkty widzenia na otaczającą nas rzeczywistość polityczną. Na wschód i zachód od naszych granic, w dwóch państwach ongiś zaborczych, reprezentujących na przestrzeni tysiąca lat naszej historii tendencje agresywne w naszym kierunku, dokonywują się przeobrażenia ideowo-psychiczne i materialne. Otóż jedni powiadają, że główne niebezpieczeństwo dla nas polega na tem, aby rozmaite myśli, ideje i formy organizacyjne przenikając do nas, nie odebrały nam samoistości kulturalnej i politycznej. Aby niebezpieczeństwa tego uniknąć, trzeba się jaknajenergiczniejodgrodzić od wszelkiego naśladownictwa i zapożyczania.

Drudzy natomiast są zdania że niebezpieczeństwo tkwi w fakcie szybkiego wzrostu siły fizycznej i politycznej państw, które mogą tę siłę wykorzystać celem zniszczenia naszej samoistności państwowej, będącej głównym warunkiem utrzymania samoistności kulturalno-politycznej. Ażeby temu zapobiec, trzeba pomnażać własną siłę fizyczną i polityczną. Każda obca myśl, ideja i forma organizacyjna jest dobra jeśli pomnaża nasz ąsiłę, jeśli może być przekształcona i użyta zgodnie z naszym światopoglądem i dla naszych celów. Przykładem takiej adoptacji jest historia Japonii.

Z takiego ujmowania otaczającej nas rzeczywistości wynika, iż jedynym kryterium przy stosowaniu pożyczek metodologicznych czy programowych powinna być ich celowość. Sympatia czy niechęć do danego narodu czy ustroju jest tu bez znaczenia — rezerwa lub niechęć do danego ustroju może być nawet gwarancją dokonania obiektywnego wyboru skutecznych metod działania.

Tym wszystkim, którzy nie rozumiejąc takiego stanowiska ustawicznie przestrzegają przed niebezpieczeństwem wpływów obcych ideologii, którzy zwalczają „pogański totalizm, a chcą konserwować w życiu polskim wszystko, co jest w nim stałością i ubóstwem, odpowiadamy: nie walczmy między sobą o słowa, gdy dookoła nas kują miecze.

WITOLD KORZENIEWSKI

KIERUNKI PRODUKCJI ROLNEJ A WIELKOŚĆ GOSPODARSTW

Nie wielkość, ale warunki ekonomiczne gospodarstwa rolnego decydują o kierunku jego produkcji.

Prasa, która chce bronić interesów ziemiaństwa, i której wydaje się, że robi to dobrze, próbuje wytworzyć jakiś antagonizm pomiędzy dwoma zasadniczymi działami produkcji rolniczej. tj. pomiędzy wytwórczością roślinną a zwierzęcą. Wytwórczość roślinna, ściślej mówiąc zbożowa, ma być tą najbardziej zasadniczą podstawą działalności gospodarczej folwarku i na tej podstawie wyciąga się wnioski, jakoby popieranie produkcji hodowlanej było wynikiem radykalizacji polityki rolnej. Odpowiednikiem tego stanowiska są zresztą sugestie strony przeciwnej, które starają się utwierdzić społeczeństwo, w mniemaniu, że gospodarstwo chłopskie to gospodarstwo przede wszystkim hodowlane. Jest rzeczą wybitnie niekorzystną, że utrwalenie się takiego mniemania w opinii publicznej już w znacznym stopniu nastąpiło, wprowadzając w dyskusje polityczno-gospodarcze dużą dozę zakłamania.

Bardziej bliskie przyjrzenie się tym problemom odsłania mylność zbyt dosłownego stosowania skądinąd słusznych teorii do rzeczywistości polskiej. Teoretyczna zasada brzmi: wytwórczość hodowlana wymaga większego zużycia pracy pieszej na ha, wobec czego bardziej jest przystosowana do typu gospodarstw małych, w których zasób tej pracy jest większy; pozatem gospodarstwa małe mają większą zdolność intensyfikacji produkcji bez nakładów kapitałowych, a więc bardziej odpowiednia jest dla nich produkcja hodowlana, która w stosunku do artykułów roślinnych posiada charakter wytwórczości bardziej intensywnej.

W stosowaniu tej zasady do warunków w jakich żyje rolnictwo polskie popełnia się błędy wynikające z pominięcia tego, że: 1) rolnictwo nasze w nieznacznym bardzo procencie, niezależnie od wielkości gospodarstw, osiągnęło poziom intensywności bliski krajom zachodniej i środkowej Europy, przyczem w gospodarstwach małych do tej pory przeważa typ gospodarstw naturalnych, które rozwijają swą produkcję nie pod wpływem popytu ze strony rynku, lecz pod wpływem potrzeb własnych rolnika

2) polski rynek spożywczy jest znacznie mniej chłonny w stosunku do artykułów pochodzenia zwierzęcego niż rynki miejskie krajów zachodnio i środkowo - europejskich; powodem tego są nie tylko przyzwyczajenia konsumcyjne ogółu ludności ale także, i to przede wszystkim, jej nikłe zarobki, dzięki czemu żyto i kartofle są podstawą żywnościową ogółu mieszkańców Polski, wreszcie

3) bezrobocie na wsi, wynikające z przeludnienia wsi, z zamknięcia dla ludności wiejskiej wszelkich innych środków zarobkowych, zmusza ją do samowystarczalności gospodarczej w ramach warsztatów rolnych, jako jedynej możliwości uzyskania środków do życia.

W wyniku tych warunków, większość gospodarstw rolnych, jaką tworzą warsztaty chłopskie, do tej pory nie została wciągnięta do obrotów ogólno-gospodarczych, ani ze strony popytu, ani podaży. Warsztaty te zmuszone są w przeważającej mierze do rozwiązywania zagadnień gospodarczych we własnym zakresie, co przede wszystkim znajduje swój wyraz w wielostronności produkcji na jaką są nastawione. W warsztatach tych (gospodarstwa o powierzchni do 50 ha — cyfry zaczerpnięte z Małego Rocznika Statystycznego) 65% areału jest zajęte pod zasiewami czterech głównych zbóż. Zboża bowiem, a nie mięso i nabiał są podstawą wyżywienia ludności chłopskiej. Zasada natomiast, którą przytoczyliśmy na wstępie, może mieć zastosowanie w krajach o silnie rozbudowanym rynku miejskim i bardzo intensywnej produkcji rolniczej, nie może zaś być brana pod uwagę w Polsce, gdzie dziś jeszcze nie ma widoków dla takiego rozwoju gospodarstwa społecznego, a gospodarstwa chłopskie bardziej przypominają gospodarkę naturalną niż kapitalistyczną.

Jeżeli chodzi o gospodarstwa folwarczne, ocena nasza zbliża się do poprzednich o tyle, że podobnie jak gospodarstwa chłopskie, folwarki opierają swą produkcję przede wszystkim na zbożu, idąc po linii dostosowania się do sytuacji na rynku spożywczym, co z ich punktu widzenia ma i tę dobrą stronę, że wytwórczość zbożowa wymaga stosunkowo najmniejszych nakładów kapitałowych.

Zresztą należy zaznaczyć, że w całej tej dyskusji spotykane argumenty nie są bez wpływów płynących z zewnątrz, którym z jednej strony przyświeca kapitalistyczne i jednostronne gospodarstwo duńskiego chłopa, z drugiej strony równie kapitalistyczne i jednostronne zbożowe gospodarstwo amerykańskiego farmera. Z obydwu tych przykładów żaden nie może mieć najmniejszego zastosowania w naszych warunkach. W warunkach tych natomiast ze względu na konieczność utrzymania wszechstronności produkcji rolniczej większe lub mniejsze nasilenie poszczególnych działów produkcji, stanowiących o intensywności danego gospodarstwa, zależy bez względu na rozmiar gospodarstwa od jego warunków ekonomicznych, przy czem przedsiębiorczość, sprawność zawodowa i siła kapitałowa kierownika warsztatu odgrywa niepoślednią rolę.

O ile na terenie stosunkowo małym i gospodarczo wyżej stojącym, a więc tem samem bardziej jednolitym można zastosować analizę kierunków

gospodarowania pod kątem wielkości gospodarstw, o tyle w kraju o tak wielkiej różnorodności warunków, jak Polska, wydaje się to mieć małe szanse powodzenia. Zwłaszcza warunki ekonomiczne grają u nas pierwszorzędną rolę, jeżeli chodzi o nastawienie gospodarstw rolnych, bez względu na ich wielkość. Jako przykład tego twierdzenia można przytoczyć fakt, że w okolicach najbliższych wielkiego rynku zbytu wszystkie gospodarstwa rolne różnej wielkości nastawiają swą produkcję na kierunek bardziej wartościowy, a więc na kierunek hodowlany.

Dopiero w tym momencie dochodzimy do punktu, w którym możemy w pewnym sensie potwierdzić stanowisko tej strony, która określa produkcję hodowlaną jako typową dla gospodarstw drobnych. W równych bowiem warunkach ekonomicznych, gdy występuje czynnik konkurencji pomiędzy gospodarstwami rozmaitej wielkości, wygrywa ją ten warsztat, który potrafi taniej produkować.

W naszych warunkach czynnikiem decydującym o taniości produkcji jest stopień możliwości użycia własnej pracy nieopłacanej. Dlatego w warunkach, w których gospodarstwa rolne bez względu na wielkość pracują wyraźnie dla rynku, w zakresie działów produkcji t. zw. „pracochłonnych”, do których zaliczamy produkcję hodowlaną, gospodarstwa chłopskie będą w walce konkurencyjnej górą o koszta pracy.

Jak wiemy, warunki, w których gospodarstwa rolne, zwłaszcza chłopskie, są nastawione przede wszystkim na rynek, są u nas bardzo rzadkie, koncentrując się niezbyt zresztą szerokim kręgiem dookoła nielicznych większych ośrodków miejskich i przemysłowych. W tej chwili więc, o ile trudno mówić o bezwzględnej gospodarczej wyższości i przydatności gospodarstw chłopskich, opartych na pracy rodzinnej, o tyle z drugiej strony należy stwierdzić, że dojście do takiego stanu ze względu na znaczne rozdrobnienie własności ziemskiej, dokonywujące się pod naciskiem socjalnym, byłoby rzeczą niezmiernie pożądaną.

Postawienie jednak powyższego dezyderatu w żadnym wypadku nie może oznaczać, by ideałem dla Polski miała być największa ilość gospodarstw chłopskich o typie duńskim. Przekształcanie się gospodarstw chłopskich na gospodarstwa wyraźnie hodowlane nie może być procesem szybkim. Staje temu na przeszkodzie wiele czynników: niski poziom wykształcenia zawodowego ogółu rolników, brak kapitałów, słaba opłacalność produkcji rolniczej, anemia rynku miejskiego itp. Ewolucja w tym kierunku musi się odbywać powoli, w miarę zmniejszania się nacisku czynników dziś utrudniających ten proces. W pierwszej linii pójdą w tym kierunku warsztaty rolne okręgów podmiejskich, przyczem promień ich zasięgu będzie się coraz bardziej powiększał. Znaczna jednak liczba gospodarstw chłopskich przy nawet najkorzystniejszych warunkach dla hodowli na długi jeszcze okres czasu będzie musiała utrzymać swój dotychczasowy kierunek zbożowo-hodowlany, możliwie najbardziej wszechstronny, co oczywiście nie musi przeszkadzać ich intensyfikacji. Gospodarstwa te zachowują dotychczasowy kierunek, gdyż nawet przy poprawie koniunktury nie będzie warunków ogólnogospodarczych dla przekształcenia większości ich na fermy hodowlane.

Przewidywania te wydają się najzupełniej uchylać wychodzące z pewnych kół obawy, jakoby w miarę zmniejszania się liczby gospodarstw folwarcznych miał się zaznaczyć silnie niedobór zbóż. Obawy te są wynikiem zasadniczego nieporozumienia co do stanowiska, jakie powinny zajmować gospodarstwa folwarczne w całokształcie produkcji rolniczej. Utrzymanie wytwórczości zbożowej na obecnym poziomie a zwłaszcza jej zwiększenie, w żadnym wypadku nie może się odbywać na drodze zwiększania powierzchni użytków rolnych pod ich uprawą. Wzrost produkcji ziarna u nas będzie zdrowy jedynie wówczas, gdy będzie się dokonywał poprzez zwyżkę plonów z ha.

Jest rzeczą niewątpliwą, że w odpowiednich warunkach do przeprowadzenia tego procesu będą również zdolne średnie i większe gospodarstwa chłopskie. Jeżeli przyjmiemy, że gospodarstwa folwarczne w miarę podnoszenia się kosztów pracy będą w przyszłości coraz trudniej wytrzymywały konkurencję drobnych gospodarstw, to musimy dojść do wniosku, że jedynym co będzie uzasadniało ich rację bytu będzie stopień nastawienia tego typu gospodarstw na wytwórczość, wymagającą stosunkowo większego nasilenia kapitału, niż pracy na jednostkę wyprodukowaną. Do takich działów produkcji w żadnym wypadku nie będzie należała wytwórczość zbożowa w jej ekstensywnej formie, natomiast, jako typ wytwórczości wymagającej znacznego nasilenia kapitałów należy rozumieć nasiennictwo, hodowlę zarodową, względnie uprawy specjalne, przy których wiedza fachowa może odgrywać w stosunku do pracy fizycznej tę samą rolę co kapitał.

U W A G I

POCHWAŁA „PRZYWILEJÓW"

Cierpliwy czytelnik zechce się nie zrażać punktem wyjścia niniejszej notatki, którym jest sprawa zgoła szczegółowa, przedmiot mało wdzięczny, mianowicie: *szmaty*.

Szmaty, będące surowcem włókienniczym, importujemy z zagranicy na poważną kwotę powyżej 20 mil. zł. rocznie. Cło od tego przywozu jest niskie. Aby uchronić się przed sprowadzaniem za tym niskim cłem, pod nazwą szmat, najrozmaitszej konfekcji przeznaczonej na sprzedaż, a nie na przerób w fabrykach włókienniczych — istnieją przepisy, bardzo dokładnie określające ile centymetrów długości i szerokości może mieć taka „legalna" szmata. Centymetrów tych jest niewiele, szmatą w sensie legalnym jest mały skrawek tkaniny. Przeto transporty zagraniczne, aby być clonymi jako szmaty, muszą być rąbane na drobne skrawki. To rąbanie kosztuje. Po pierwsze kosztuje robotnik wykonywujący ową legalizacyjną pracę; powtóre pewien procent produktu marnuje się i znika, jako pył; po trzecie skrócone włókno traci na wartości; wreszcie czas zużyty na całą manipulację, przy naszej stopie dyskontowej, reprezentuje poważne kwoty. Znawcy obliczają, że rąbanie szmat, wymagane przez przepisy celne, kosztuje gospodarstwo narodowe *około półtora miliona złotych rocznie*.

Proszę nie wysnuwać pochopnie wniosku, że przepisy celne są głupie i przymuszają do marnotrastwa. Niestety, sprawa nie jest tak prosta.

W samej Łodzi importem szmat zajmuje się podobno 580 firm. Bynajmniej nie wszystkie z nich można uważać za krystaliczne zwierciadła lojalności i solidności. Zdarzały się liczne wypadki, że jako *szmaty* importowano i clono ubrania, kapelusze, pończochy etc., które po należytym wyelegantowaniu (podobno na warszawskim Kercelaku wróbla wymytego wodą utlenioną można nabyć jako kanarka) dostawały się na rynek konfekcyjny. Wśród paru setek firm importujących jest wielki procent — krótko mówiąc — łobuzów, których przyrzeczeniom i deklaracjom nie wolno dawać wiary, a co za tem idzie jako instrument polityki gospodarczej musi być używana siekiera, rąbiąca bele szmat z wielkim marnotrawstwem, ale dająca zupełną pewność, że wymaganiom władz w pełni stanie się zadość.

To już koniec ze szczegółową sprawą szmacianą. Oceńmy teraz rzecz bardziej generalnie.

Przepisy administracyjne są konstruowane w ten sposób, aby przez ich sieć nie przedostał się nikt, żadna mała płotka nawet. Dlatego sieci te mają maleńkie oka. Ponieważ przed niesolidnością *niektórych* importerów trzeba się bronić przy pomocy siekiery, przeto zawiesza się tę kosztowną siekierę nad głowami *wszystkich* importerów, kosztem półtora miliona.

Oczywiście, byłoby błędnym pesymizmem mniemanie, że niema żadnego importera, w stosunku do którego można by się zadowolić jego zapewnieniem, że sprowadzony towar użyje tylko i wyłącznie dla przerobu; w najbardziej grzesznym mieście znajdziesz paru sprawiedliwych. Tych sprawiedliwych szmaciarzy można by zwolnić od obowiązkowego marnotrawstwa.

Indywidualne wyjątki? Przywileje? Dlaczego Abram ma drogo płacić za rąbanie, a Adam nic? Czy można towarowi Adama stwarzać dogodniejsze warunki konkurencji, niż towarowi Abrama? Kto ma ich kwalifikować? Co za pole do nadużycia władzy, przekupstwa i stronniczości! Nie, nie można naruszyć tych krzykliwych „imponderabiliów", lepiej rąbać i płacić za rąbanie.

To nie są żadne imponderabilia. To jest zwykłe zakłamanie. Polska jest krajem o naogół niskim poziomie kultury gospodarczej i o nie wysokim poziomie uczciwości jednostek gospodarujących — ale Bogu dzięki dużo też jest dodatnich wyjątków. Do wszystkich stosując jednakowe metody administracji gospodarczej, zamydlamy sobie tylko oczy hasłami równości etc., a w rzeczywistości dyskryminujemy dobrych na korzyść złych. Jeżeli towar solidnego importera szmat będzie tani i skutecznie wyrzuci z rynku obciążony kosztami rąbania towar importowany przez firmę nie zasługującą na zaufanie — to nie będzie w tem niesprawiedliwości, a przeciwnie, będzie danie słusznej rekompensaty za solidność; w wyniku, dzięki takiej eliminacji, podniesie się przeciętny poziom kultury gospodarczej w branży szmaciarskiej. Przepisy prawne z natury swojej mają skuteczność wychowawczą; a cóż to za metoda wychowawcza, która pozwala wszystkim dawać w skórę, dlatego, że niektórzy sobie na to zasłużyli. Umieszczanie przedsiębiorców solidnych w warunkach prawnych obmyślonych dla łobuzów, jest działaniem w praktyce zachęcającym do łobuzerii, a zniechęcającym do solidności. Mieliśmy piękne przykłady tego w praktyce podatkowej, gdy za wariata miano człowieka deklarującego prawdziwe sumy wymiarowe, boć i tak urząd doda do nich 50% czy 100%.

Probujemy sformułować konkretny postulat. Dotyczy on tych dziedzin administracji gospodarczej, w których obywatel poddać się musi pewnemu postępowaniu, mającemu stworzyć pewność, że obywatel ten działać będzie w myśl zamierzeń władz. Wszędzie tam, gdzie postępowanie takie jest uciążliwe lub kosztowne — uważamy, że stosowana powinna być dwoistość wymagań i dwoistość metod proceduralnych. Formy mniej rygorystyczne, mniej uciążliwe powinny być stosowane do jednostek gospodarujących o wyższym poziomie etyki i kultury gospodarczej, których zobowiązanie ma wagę solidności i w dostatecznej mierze zapewnia, że zamierzenia władz będą ściśle i lojalnie przestrzegane.

Zdajemy sobie sprawę, że w ten sposób administracja gospodarcza uzyska możność dzielenia obywateli na lepszych i gorszych. Wiemy również, że powstanie w ten sposób pole do nadużyć i błędów Jednak bardziej obawialibyśmy się strachu przed odpowiedzialnością, a zatem kwalifikowaniem wszystkich do kategorii podejrzanych — aniżeli owych nadużyć i błędów. Bowiem nadużycia i błędy reprezentują dla gospodarstwa narodowego straty i koszty, które będą się zdarzały *niekiedy*, a mogą być zwalczane dosyć

skutecznie. Natomiast „sprawiedliwość” nakazująca obciążać wszystkich rygorami dostosowanymi do poziomu najgorszych — reprezentuje dla gospodarstwa narodowego straty i koszty, ponoszone *z reguły*, we wszystkich wypadkach, a nie zwalczane niczem, gdyż wynikające z przyjętych założeń.

st. rz.

STRAJKI, PŁACE I KONIUNKTURA

Fala strajków i wywalczona przez nie zwyżka robocizny są cechami, które charakteryzują „front robotniczy” w Polsce w sposób najbardziej dosadny. Liczba strajków, która w r. 1930 spadła do 312, od tego czasu stale podnosi się ku górze, zrazu wolno (w 1933 r. — 631), potem co raz to szybciej (w 1934 r. — 946), aby w r. 1936 osiągnąć 2.040, w roku zaś bieżącym (do marca włącznie) — 414. Analogicznie rośnie liczba zakładów, objętych strajkami (1930 r. — 1.185, 1933 r. — 7.282, 1936 r. — 22.550, 1937 r. — 7.513), strajkujących (odpowiednio: 48, 343, 662 i 117 tys. ludzi) oraz straconych robotniko-dniówek (odpowiednio: 273, 3.829, 3.919 i 919 tysięcy).

Większość strajków doprowadza do zwycięstwa. Przyjmując ogólną ilość strajków o wynikach wiadomych za 100, otrzymamy, że w r. 1930 — robotnicy wygrali ich 68, w 1933 r. — 82, w 1936 r. — 86, dla 1937 r. brak jeszcze danych. A ponieważ na każde 100 strajków wybuchło na tle żądań o podwyżkę lub nieobniżanie płac w 1930 r. — 62, w 1933 r. — 59, a w 1936 r. — 73, więc nic dziwnego, że tak wielka ilość wygranych strajków musiała zakończyć się podwyżką robocizny.

Zmiany w poziomie płac, wykazanych przez Główny Urząd Statystyczny są na ogół mało dostrzegalne. Przeciętny tygodniowy zarobek robotnika w wielkim i średnim przemyśle przetwórczym z 26.74 zł. w 1934 r. podniósł się do 27.36 zł. w 1936 r., czyli zaledwie o 2,3%. Z innych danych (zob. „ Mały Rocznik Statystyczny” Nr. 253) wynikało by nawet, iż do r. 1936 następował stały spadek przeciętnych zarobków robotniczych, osiągając w r. ub. poziom 72 groszy za godzinę wobec 1 zł. w 1930 r. i dopiero w maju br. stawka ta podniosła się do 74 groszy. Wiadomości jednak, jakie napływają z terenu i te, które czyta się w prasie codziennej, zaprzeczają oficjalnemu pesymizmowi. Trend płac roboczych nieznacznie, ale stale dąży do góry.

Jedno jest pewne: masowe strajki (vide ilość strajków, straconych robotniko-dniówek itp.) powodują niewielką podwyżkę płac. Nie dlatego „góra porodziła mysz”, że strajki przybrały charakter, ale *pomimo* tego charakteru. Zjawisko to świadczy o umiarkowanych żądaniach ze strony robotników, jak i o upowszechnieniu broni strajkowej.

Na umiar żądań robotniczych wpływa cały szereg różnorakich motywów. Jednym z nich jest spokojny charakter samych mas robociarskich. Poważną rolę odgrywa również trzeźwa kalkulacja możliwości płatniczych przemysłu. Nie bez znaczenia jest także fakt, że płace jednostkowe rosną powoli, ale zatrudnienie wzmaga się stosunkowo szybciej, przez co dochód klasy robotniczej jako całości wzrasta silniej, niwelując ujemne skutki podrożenia artykułów pierwszej potrzeby. Swoją rolę odgrywa wreszcie okoliczność, że płace — dzięki umowom zbiorowym — są usztywnione; w okresie depresji spadały one wolno, a teraz, w okresie poprawy, wolno idą do góry.

Istotniejsze w fali strajkowej jest co innego: motyw zasadniczy, wyrażający się w poczuciu krzywdy, jaką klasie robotniczej, pauperyzując ją, zadał kryzys gospodarczy, i w poczuciu słuszności domagania się od poprawy gospodarczej dopuszczenia w zyskach ogólnych, jakie ona z sobą przynosi. Poprawa koniunktury zagranicznej i wewnętrznej, zwyżka cen itp. oddziaływują na świadomość robotnika w tym sensie, że żąda on podwyżki płac, motywując ją zarówno relatywnym obniżeniem się płac w ogólnych kosztach produkcji, jak i antycypacją zwiększonych obrotów i dochodów przemysłu.

Na tle żądań strajkowych i uzyskanej dzięki strajkom podwyżki zarobków wysuwane są obawy o przyszłość naszego przemysłu i o rozwój naszego gospodarstwa narodowego. Zwraca się słusznie uwagę, iż strajki kosztują i że zamiast podwyższać zarobki należało by zwiększyć zatrudnienie. Obydwa te postulaty są, powtarzamy, słuszne, ale cóż z tego, kiedy ich nikt nie słucha. Bo niewątpliwie przemysł ustępuje robotnikom, a koszty strajków równają się co najmniej wysokości uzyskanych podwyżek, ale mimo to i przemysłowcy i robotnicy niechętnie lub za późno uciekają pod skrzydła arbitrażu. Jednymi i drugimi kieruje nie tyle kalkulacja, co ambicja.

Postulat zwiększenia zatrudnienia zamiast zwyżki płac jest dość trudny do realizacji. Bo nie każdemu przedsiębiorcy może się to opłacać, bo trudno — w naszym ustroju — zmusić go do wzięcia bezrobotnych, skoro ich nie potrzebuje, bo związki zawodowe krzywo się patrzą na bezrobotnych, bo przyjęło się, że od zwalczania bezrobocia jest państwo i gmina, ale nie przedsiębiorca prywatny itd., itd.

Istnieje ponadto pogląd, że zwyżka płac przeszkadza procesowi inwestycyjnemu i szkodzi industrializacji kraju. Zarzut poważny, ale czy słuszny? Przecież inwestycje wykonywane są nietyle z oszczędności na płacach, co z kredytów, zaciąganych niejako pod zastaw przyszłych zwiększonych obrotów i zysków. Fakt, że inwestowano w Polsce nawet w czasie depresji, dowodzi, że inwestycjami w przemyśle kierują inne motywy, a nie wzgląd na aktualną robociznę. Zresztą, nie można by zbyt kategorycznie twierdzić, że niskie zarobki sprzyjają kapitalizacji, której kraj tak bardzo potrzebuje. Zapewne, co się zaoszczędzi na płacy, to może pójść na modernizację lub rozszerzenie przedsiębiorstwa. Ale z drugiej strony zwyżka płac powoduje wzrost obrotów i również sprzyja kapitalizacji. że ta ostatnia odbywa się na innym piętrze (na poziomie małego i średniego przemysłu), to jest sprawa odmienna, lecz nie tak bardzo zasadnicza.

Ruch inwestycyjny i wzmożenie zatrudnienia niewiele sobie robią ze strajków i z podwyżki płac. Wskaźnik produkcji przemysłowej jest w rb. o kil-

kanaście punktów większy niż w roku zeszłym, zbyt węgla na cele przemysłowe w okresie lipiec — sierpień rb. jest o 27% większy od zbytu w takim samym okresie r. ub., naładunek wagonów wzrósł analogicznie o 28% etc. Jednocześnie zatrudnienie w górnictwie od sierpnia z. r. do sierpnia br. wzrosło o 14 tys. ludzi (16%), w hutnictwie o przeszło 7 tys. (14%); w ciągu tego jednego roku rynek pracy wchłonął — bez robót publicznych — niemal 100.000 niezatrudnionych, co stanowi 14% stanu z sierpnia ub. r.

Można by się spierać, czy podane wyżej wskaźniki są dowodem szybkiego przezwyciężania kryzysu. W żadnym jednak razie ruch strajkowy i uzyskane w jego wyniku podwyżki płac nie są tym decydującym hamulcem. Jeżeli jest mowa o hamulcach, to szukać by ich należało np. w polityce kredytowej, podatkowej, reglamentacyjnej...

k. b.

PODRĘCZNIK DLA EKONOMISTÓW

Żaden zapewne ekonomista nie potrafiłby obejść się przy wykonywaniu swych zajęć bez pomocy „Rocznika Statystycznego". Istnieje jednak poza „Rocznikiem" tak wielka masa źródeł wiadomości — nie mówiąc o komentarzach — że żadna biblioteka warszawska nie posiada ich zapewne w komplecie. Biblioteczki i zbiorki podręczne biurowe i prywatne są w dysproporcji całkowitej z tem, co ich użytkownik bądź właściciel wiedzieć musi lub powinien. Bywają wiadomości całkiem proste, ściśle sprawozdawcze, pozornie łatwe do uzyskania (np. treść przepisów ogłaszanych w Dz. U. R. P.) — w rzeczywistości codziennej okazują się one jednak niedostępne z powodu najbardziej niewątpliwego: nie ma ich „pod ręką" i nie wiadomo *wystarczająco* dokładnie, gdzie ich szukać.

Rocznik Statystyczny, wchłonąwszy w siebie w ciągu roku pracę dużego zastępu specjalistów, dostarcza pewnej ilości suchych faktów; książka, dziennik urzędowy lub czasopismo dopomogą niekiedy do odnalezienia tego lub innego szczegółu, kiedyś przeczytanego. Na ogół jednak — ilekroć spróbujemy zorientować się w nowej dla nas dziedzinie życia gospodarczego — stwierdzimy, że bez ogromnej, nieproduktywnej straty czasu na poszukiwania — zamiar nasz jest nieosiągalny nawet, gdy mamy do dyspozycji dużą bibliotekę ekonomiczną. Potrzebna wiadomość tkwić może w jednym z kilkudziesięciu źródeł — nie wiadomo tylko w którym właśnie!

Podobnie jak rzecz się ma ze znikaniem tradycyjnej spinki w momencie, gdy jest nam właśnie potrzebna, — tak też wiadomości i ich źródła znikają z dobrze nawet zaopatrzonej biblioteki w chwili gdy zaczynamy ich poszukiwać. Powód jest ten sam zapewne w obu wypadkach. Zarówno spinka, jak i wiadomości istnieją... ale nie ma ich tam, gdzie ich szukamy: prosta konsekwencja codziennego nieporządku — w jednym wypadku indywidualnego i domowego, w drugim — społeczno-organizacyjnego.

Ekonomista - praktyk znajduje się w o tyle mniej dogodnej sytuacji od swych kolegów - teoretyków, że nie wystarczają mu oderwane dane faktyczne, lecz, że musi on znać ściśle oznaczony w czasie, przestrzeni wycinek zjawisk. Doceniamy kłopoty teoretyków, którzy przy pogłębianiu obranego tematu natrafiają na nieprzewidziane luki w zebranym materiale — jednakże wolno im bądź od tematu nieco odstąpić, bądź przedłużyć poszukiwanie materiałów, bądź wreszcie spróbować rozwiązania w oparciu o inne bardziej obfite dane źródłowe. Tych dróg wyjścia nie ma przed sobą ekonomista - praktyk, uzbrojony jedynie w zapas doświadczenia, wiedzy ogólnej i umiejętności wiązania ze sobą zjawisk gospodarczych. Umiejętność ta nie przedstawia jednak praktycznego znaczenia, gdy ekonomista nie zna konkretnych danych, aby wydać trafną wskazówkę polityczno - gospodarczą lub trafną ocenę przyczyn określonej sytuacji gospodarczej.

Trudność polega na tem, że przeważnie wypowiadając się w kwestii bliżej nieznanej, nikt nie posiada dość czasu na zdobycie *wszystkich* niezbędnych wiadomości. Jeżeliby mógł sięgnąć ręką po książkę, w której znalazłby łatwo parę słów o interesującej go sprawie, byłoby to gromne ułatwienie dla pełniejszego uchwycenia problemu. Nieraz praktyk-ekonomista chciałby sprawdzić, czy nie zawodzi go pamięć — lecz ta „drobnostka" kosztowałaby go zbyt wiele czasu. Suponuje, zatem że pamięta dobrze, na tej podstawie buduje dalsze wnioski, ale podstawy na wszelki wypadek na światło dzienne nie wydobywa.

Gdy stajemy wobec bliżej nam dotychczas nieznanej dziedziny, rozpoczyna się błądzenie w poszukiwaniu *źródeł* dogodnych w użyciu, zawierających pewne odcinki problemu, i zwłaszcza źródeł dostępnych w naszych warunkach. Nie posiadamy żadnego przewodnika, któryby ułatwił nam odnalezienie drogi do potrzebnych wiadomości i zaoszczędził czas na pracę produktywną. W wypadkach gdy przewodnik taki istnieje, jak np. publikacje Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego w Puławach w zakresie rolniczo-ekonomicznym, to albo znajduje się w komplecie tylko w którejś z bibliotek specjalnych, albo, gdy rzecz dotyczy bardzo wąskiego, bardzo specjalnego wycinka w ogóle nie wiemy o jego istnieniu.

Wiele jeszcze można by wyliczać bolączek ekonomisty - praktyka.

Zdaje mi się, że tym bolączkom wynikającym z braku *zgrupowanych w dogodnej postaci*, a nieodzownych dla prawidłowej pracy — wiadomości z życia gospodarczego można by zaradzić dość skutecznie.

Gdy ktoś pragnie zorientować się w całości czy poszczególnych odcinkach gospodarki francuskiej — może to uczynić przy minimum kłopotów i straty czasu a maximum korzyści — przeglądając dla każdego roku tom (300 — 500 stron) Révue d'Economie Politique. Tom ten noszący ogólny podtytuł „La France Economique en 193..." zawiera w dwudziestu kilku artykułach systematyczny sine ira potraktowany przegląd wydarzeń w poszczególnych działach życia gospodarczego. Ogłaszana jest ta niezwykle staranna i wyczerpująca kronika już od lat kilkunastu

stanowiąc dobre wprowadzenie do każdej interesującej nas kwestii francuskiego życia gospodarczego.

W Niemczech — Reichskreditgesellschaft wydaje dwa razy do roku znacznie skromniejszy od francuskiego, ale bardzo przejrzysty i dogodny w użyciu przegląd sytuacji gospodarczej Rzeszy p. t. Deutschlands Wirtschaftliche Lage. Pozatem istnieją liczne wydawnictwa, wprawdzie już o nieco innych charakterze, berlińskiego Instytutu Koniunktur.

Na terenie międzynarodowym Liga Narodów stworzyła bardzo cenną pomoc dla ekonomistów w postaci swych kilku roczników jak: Revue de la situation économique moueliale; Aperçu de la situation monétaire: Production et Prix itp.

W Polsce nie istnieje systematyczny przegląd coroczny całości naszego życia gospodarczego, skąd łatwo każdy ekonomista niewyspecjalizowany w określonej dziedzinie mógłby czerpać potrzebne mu elementy wiedzy i decyzji. To ostatnie jest szczególnie ważne, gdy uwzględnimy, że gros naszych ekonomistów składa się z urzędników państwa i instytucyj publicznych, a zatem z ludzi, których decyzje lub opinie stanowią o warunkach działalności gospodarczej w Polsce.

Nie wkraczając w szczegóły, można sądzić, że powinno ukazywać się raz do roku wydawnictwo obejmujące na kilkuset stronach przegląd najważniejszych wydarzeń na poszczególnych dziedzinach z życia gospodarczego w Polsce wraz z podaniem źródeł wiadomości (np. daty Dziennika Ustaw) i nowych publikacyj dzięki którym można by łatwo pogłębić określone zagadnienia.

Tak pomyślany „podręcznik dla ekonomistów" mógłby być np. co 10 lat zakapitulowany w postaci bardziej pogłębionego syntetycznego dzieła historyczno - gospodarczego. Inicjatywę powinna podjąć organizacja społeczna (np. Towarzystwo Ekonomistów i Statystyków) grupująca ekonomistów z różnych terenów, a niezainteresowana bezpośrednio w takim lub innym oświetlaniu spraw omawianych. Zdaje się, że trudności znalezienia kilkudziesięciu fachowców z różnych dziedzin nie są już obecnie istotne. Środki finansowe potrzebne byłyby nieznaczne stosunkowo, gdyż popyt na wydawnictwo (ca 1500 egzemplarzy) — jeśli jak mniemamy odpowiadałoby ono palącym potrzebom praktyków — powinien pokryć lwią część kosztów. Konkurencja nabywców grałaby tu skutecznie, gdyż dysponujący „podręcznikiem" znajdowaliby się w wykonywaniu wielu swych obowiązków i prac w sytuacji wyraźnie uprzywilejowanej. Warunek podstawowy powodzenia jest jeden — publikacja musi odpowiadać potrzebom gruntownej lecz zwięzłej i szybkiej informacji praktyka, stanowiąc identyczny w układzie i porównywalny przegląd życia gospodarczego w wielu kolejnych latach — w miarę ogłaszania „podręcznika".

Najważniejsze nie jest jednak znaczenie projektowanej publikacji dla tego lub innego ekonomisty. Kalkulacja powinna być przede wszystkim narzędziem usprawnienia administracji gospodarczej publicznej i prywatnej, tak jak narzędziem usprawnienia administracji toût coûrt jest dogodny w użyciu zbiór obowiązujących ją przepisów, jak również narzędziem usprawnienia administracji technicznej jest „Podręcznik Inżynierski".

wld. pt.

NOTATKI

KONIEC POLEMIKI

„A teraz towarzyszu oświadczam, że reforma rolna to bolszewizm" — taką oto deklarację zamieścił p. Aleksander Bocheński na łamach wileńskiego „Słowa". żartobliwa polemika pomiędzy autorem niniejszej notatki a p. Al. B. dała wynik nieoczekiwany i ważki. Oświadczenie pana Al. B. wyjaśnia wszelkie nieporozumienia. Z tą chwilą jasne jest, że sprawa wielkości gospodarstw, tworzonych z parcelacji, sprawa rzekomego dążenia czyjegoś do kolektywizacji rolnictwa polskiego itd., to są zagadnienia dla p. Al. B. wtórne, stanowiące tylko przesłanki argumentacyjne w stosunku do tezy podstawowej. O to naprawdę zatem chodziło. O bezpośrednie zaatakowanie reformy rolnej, która w Polsce jest prawem obowiązującym, i pragnieniem olbrzymiej większości społeczeństwa.

Przyznaję, iż nieraz przyglądając się atakom konserwy na to lub owo zagadnienie, związane z reformą rolną, odnosiłem wrażenie, iż w atakach tych nie chodzi o sprawę w danej chwili poruszaną. że dane zagadnienie stanowi przypadkowy punkt zahaczenia, a istotny cel ataku leży głębiej. Nigdy jednak, jeśli się nie mylę, w publicznych wystąpieniach organów konserwatywnych nie napotkaliśmy tak szczerego i jawnego przeciwstawienia się samej zasadzie reformy rolnej. Oportunizm i hypokryzja dyktowały inną postawę: postawę rzekomej obrony reformy rolnej, ale jakiejś innej, lepszej, ostrożniej, powolniej realizowanej.

Pana Aleksandra Bocheńskiego wśród ogółu naszych publicystów wyróżniała nie tylko kultura, ale i duża odwaga cywilna. Dał jej dowód i tym razem, zrywając z oportunizmem i hypokryzją, i wyraźnie oświadczając, że reforma rolna to bolszewizm. Rzecz inna, że tem samem pan Aleksander Bocheński zamknął dla mnie możliwość i potrzebę merytorycznej z nim dyskusji na temat reformy rolnej. Dlaczego?

1. Bo w warunkach polskich poza ludźmi złej woli (a o złą wolę nigdy bez dostatecznych dowodów nie posądzam moich oponentów, a zwłaszcza p. Bocheńskiego) reformie rolnej sprzeciwiać się może tylko ktoś, żyjący w jakimś fantastycznym, anachronicznym świecie myślowym, ktoś, co zamyka oczy na przeludnienie agrarne Polski, na ujemne konsekwencje nieuchronnego przy zaniedbaniu planowej reformy rolnej, bezplanowego procesu samorzutnej, dobrowolnej parcelacji, na socjalne i polityczne znaczenie dla mas chłopskich interwencji Państwa w zagadnienie władania ziemią itd.

2. Bo kwalifikować jako bolszewizm reformę rolną, która jest obowiązującą u nas normą prawną, żyrowaną przez wszystkie czynniki, mające udział w rządzeniu Państwem, przez wszystkie ugrupowania polityczne z wyjątkiem garstki ziemiańskich konserwatystów, przez wszystkie autorytety moralne i naukowe, reformą rolną, która jest koncepcją starszą od bolszewizmu i zrealizowaną w krajach od bolszewizmu najdalszych, a nawet w krajach o ustroju monarchistycznym — może tylko skrajny fanatyk, z którym dyskusja jest bezcelowa.

Na tem skończyłbym moją replikę, gdyby nie chęć wyjaśnienia pewnych nieporozumień. Zdaję sobie sprawę, że wobec poglądów p. Bocheńskiego na reformę rolną, wyjaśnienie to nas nie zbliży, to też jedynie dla zamknięcia dyskusji w możliwie jasny i wyraźny sposób poruszę niżej krótko dwie najważniejsze sprawy:

1. Sprawa rozmiarów gospodarstw, tworzonych przy reformie rolnej.

Wyjaśnienia moje w tej sprawie p. Bocheński uznaje za nadające się do dyskusji pod innymi kątami widzenia, natomiast nie dostrzega w nich odpowiedzi na pytanie, co stanie się z gospodarstwem zaledwie samowystarczanym, jeśliby ono miało więcej dzieci. Nie przypuszczałem, że pytanie zadane jest poważnie i dlatego dopiero teraz odpowiem na nie.

Zwiększenie liczby dzieci w każdym gospodarstwie chłopskim niesamowystarczalnym, samowystarczalnym i wielkochłopskim w pewnych warunkach stanowi ciężar, w innych może być ułatwieniem. Rozmiar gospodarstwa nigdy nie może być pełną gwarancją przed ujemnymi skutkami większej rozrodczości — tak jak nie może być gwarancją przed konsekwencjami złej gospodarki właściciela lub kryzysów gospodarczych. Z tego też względu miałbym prawo na pytanie p. Bocheńskiego odpowiedzieć pytaniem: „Co się stanie z większym gospodarstwem chłopskim, odpowiadającym koncepcjom p. Bocheńskiego, jeśli gospodarz będzie miał nie o jedno, lecz o kilkoro dzieci więcej niż to przewidział p. Bocheński?". Ale nie w tem leży sedno sprawy. Z punktu widzenia pojedyńczej rodziny chłopskiej (nie tylko ze względu na dzieci) najwygodniej byłoby tworzyć przy reformie rolnej gospodarstwa wielkochłopskie, albo zgoła rozdawać poszczególnym chłopom folwarki. I to możliwie duże. Natomiast z punktu widzenia *ogółu* rodzin chłopskich tworzenie gospodarstw większych niż to jest niezbędne, prowadzi przy ograniczonym zapasie ziemi do poprawy losu tej cząstki, która otrzyma większe warsztaty kosztem losów tych, którzy skutkiem nadmiernego rozmiaru osad w ogóle ziemi nie otrzymają.

I gdybyśmy chcieli naśladować p. Bocheńskiego, to repliką musiałoby być znowu takie zapytanie: Skoro p. Bocheński tak się troszczy o skutki urodzin jednego dziecka więcej w gospodarstwie tworzonym z parcelacji, to może zechce nam powiedzieć, czy te rodziny, które na skutek zaniechania reformy rolnej w myśl życzeń p. Bocheńskiego w ogóle nie dostałyby ziemi, mają jego zdaniem wcale nie mieć dzieci?

2. Sprawa kołchozów i spółdzielczości.

a) P. Bocheński zarzuca mi, iż zamiast dać definicję kołchozu i spółdzielni zadowoliłem się frazesami. Cytuję wobec tego z mego poprzedniego artyku-

łu: „Kołchozy polegają na wspólnocie gospodarstwa rolnego, przy ewentualnym pozostawieniu w indywidualnym władaniu małej cząstki w zasadzie drugorzędnych działów gospodarstwa". Czy to definicja, czy frazes? Jest tam także definicja spółdzielni: „Zespołowa organizacja dla celów zbytu i przetwórstwa".

— Po co p. Bocheński sam się naraża na nieprzyjemne stwierdzenia?

b) P. Bocheński usiłuje wprowadzić inne kryterium rozróżnienia kolektywu. Kolektyw ma być przymusowy, a spółdzielczość dobrowolna. Nie jest to ścisłe. W Rosji istniała, względnie istnieje, bez wątpienia nieliczna grupa kolektywów dobrowolnych, natomiast spółdzielczość rosyjska, istniejąca równolegle do kolektywów, jest przymusowa. Bardzo źle, że jest przymusowa. Spółdzielcy całego świata, a w tym rzędzie autor tych słów (członek dwu dobrowolnych spółdzielni), uważają przymus należenia do spółdzielczości za spaczenie idei spółdzielczej. Tem niemniej mamy chyba prawo stwierdzić, że w artykule p. Bocheńskiego nie ma prawidłowej definicji kołchozu i spółdzielni, a jest tylko nieścisły frazes...

c) P. Bocheński wobec wyraźnego stanowiska, zajętego w mojej poprzedniej notatce, wycofuje się z imputowania mi dążeń do kolektywizacji. Natomiast wciąga w dyskusję osoby trzecie, kierując ten sam zarzut pod adresem obecnego ministra rolnictwa i kol. Cz. Bobrowskiego. Nie mamy zamiaru, prawa i możności mieszać do naszej polemiki osoby pana ministra rolnictwa. Natomiast odajemy głos kol. Bobrowskiemu [1]).

Całe szczęście, iż p. Bocheński zdecydował się kreować kol. Bobrowskiego, a poprzednio i mnie, tylko na zwolenników przymusowej spółdzielczości. O ileż bowiem trudniej byłoby odeprzeć twierdzenie, że dajmy na to, któryś z nas dąży do tworzenia spółdzielczości, obejmującej tylko blondynów, albo, że istotnym celem propagowanej przez nas spółdzielczości ma być nie ułatwienie zbytu i przetwórstwa, lecz dajmy na to walka z obowiązującą ortografią. Wszystkiego przecież można spodziewać się po bolszewikach — zwolennikach reformy rolnej.

Jak powiedziałem wyżej — merytoryczną polemikę z p. Al. B. uważam za skończoną. Poza cennym, bo szczerym wypowiedzeniem się publicysty „Słowa" przeciw reformie rolnej, polemika ta dostarczyła obu pismom pewnej ilości mniej czy więcej udanych dowcipów. Kończę tę polemikę jednak z troską. Jedną poważną, drugą żartobliwą.

Troska poważna mieści się w tem, iż w artykułach p. Bocheńskiego mieliśmy dowód, że pod wpływem fanatyzmu politycznego publicysta o wysokim poziomie mógł wbrew całemu szeregowi jasnych dowodów, a opierając się czy na gołosłownych domysłach, czy na kuchennych plotkach, uwierzyć, iż jego przeciwnicy naprawdę wyznają poglądy, które im imputuje.

Mniej poważną troską jest to, że swymi artykułami p. Bocheński musi przyczynić się do popularyzacji bolszewizmu w Polsce. Boć jeśli reforma rolna to bolszewizm, to bolszewikami jest całe prawie społeczeństwo polskie, Sejm, Senat, Rząd, wszystkie czynniki, które kiedyś stworzyły reformę rolną, a dziś ją realizują. Dla wzmocnienia swej pozycji p. Bocheński usiłuje wciągnąć w grę autorytet Premiera, powołując się na oświadczenie w sprawie Z.N.P. P. Bocheński jednak zapomina, iż Premier wyraźnie deklarował się jako zwolennik reformy rolnej. Skoro zaś reforma to bolszewizm, a więc widocznie Generał Składkowski jest także bolszewikiem.

— Chyba pan tego nie myśli, towarzyszu Bocheński!

t. k.

[1]) Pomimo, że wielokrotnie omawiałem w wystąpieniach publicystycznych sprawę kolektywizacji, mógłbym przypuścić, że p. Bocheński nie zna mojego skrajnie negatywnego stosunku do niej, względnie suponuje, iż uległ on zmianie. Przypadkiem jednak wiem, iż zaledwie na parę dni przed ukazaniem się artykułu p. Al. B. zapoznał się on z mymi poglądami u osób trzecich, dobrze poinformowanych o mojej ocenie kolektywizacji. Imputowanie mi dążenia do przymusowej spółdzielczości (używam tego nielogicznego terminu za p. Bocheńskim) pozostawiam bez odpowiedzi z tej prostej przyczyny, iż nie widzę celu i możności wyjaśniania i prostowania wszelkich gołosłownych twierdzeń, jakie komuś podoba się rzucić.

Czesław Bobrowski.

NA STARYM MIEJSCU

Problem organizacji i kosztów pośrednictwa jest niewątpliwie problemem ważnym. Wprost proporcjonalnie do jego wartości pozostaje trudność rozwikłania zagadnienia, które nawarstwiało się przez setki lat (nie bez udziału grupy ziemiańsko - szlacheckiej), a które różni ludzie usiłują rozwiązać w terminie dwudziestoczterogodzinnym.

Najciekawsze jest to, że dyskutujący i piszący o przeroście pośrednictwa, o lichwie w handlu i t. d. nie są należycie zorientowani w poruszanym przez siebie przedmiocie. W dziedzinie tej panuje powszechna nieznajomość rzeczy i dopiero po pracach Międzynarodowej Komisji Handlu Wewnętrznego, która będzie dla handlu tem, czem dla przemysłu była Komisja Ankietowa, będzie można z ręką na sercu walić taranem w niepopularne pośrednictwo.

Pośpiech i niedokładność w wyciąganiu wniosków na temat handlu nie ułatwiają, lecz utrudniają poznanie i uzdrowienie naszego aparatu wymiany. Wprowadzają one czytelnika na manowce, a t. zw. czynnikom decydującym dają fałszywą busolę do ręki. Bałamutne informacje zazębiają się o frazesy i ogólniki, a brak wnikliwej analizy *całokształtu* warunków, dzięki którym mamy takie a nie inne pośrednictwo, kojarzy się z pierwiastkiem emocjonalnym, skłonnym do egzageracji.

W doskonale zmontowanej pracy p. t. „O jasny program i zwarte działanie" autor, p. Tadeusz Lechnicki, nie ustrzegł się, niestety, od uogólnień i niepogłębionych wniosków. Aczkolwiek pisze on, że zmniejszeniu kosztów pośrednictwa „poświęcił specjalną uwagę, dążąc do zupełnie bezpośredniego wglą-

du w układ stosunków", dwadzieścia kilka wierszy druku nie daje wyrazu studiów autora nad zagadnieniem rozpiętości cen w handlu, kosztów pośrednictwa i t. p.

Autor operuje jednym, jedynym przykładem: rozpiętość cen mleka na linii producent — konsument wynosi w Finlandii 18% ceny dolnej, gdy w Polsce rzekomo 200%. Piszemy: rzekomo, gdyż z danych Gł. Urz. Stat. wynikało by, iż rozpiętość ta nie przekracza 60%.

Mniejsza jednak z tym mlekiem. Chodzi o coś ważniejszego, mianowicie o wnioski autora, które brzmią: „Na tym jednym przykładzie, który zresztą da się zastosować do niemal wszystkich artykułów spożywczych..."

Jedna jaskółka nie czyni wiosny i jeden przykład absolutnie nic nie mówi o innych, ani ich nie przesądza. Twierdzenia, że w „niemal wszystkich artykułach spożywczych" rozpiętość cen wynosi 200% ceny, płaconej producentowi, nie wytrzymuje krytyki w konfrontacji z rzeczywistością. Przytoczone przez nas dane („Gospodarka" Nr. 15-16 str. 221) nie były przez nikogo kwestionowane, do nich więc odsyłamy Czytelnika, aby je zechciał porównać ze zbyt pochopnymi wnioskami p. Lechnickiego.

Zgadzając się (w zasadzie, ale nie w sformułowaniu) z p. Lechnickim, że „ograniczenie kosztów pośrednictwa, które w Polsce decydują [1]) o nieopłacalności produkcji hodowlanej i o drożyźnie życia najszerszych warstw ludności, wydaje się jednym z najpilniejszych zagadnień gospodarczych bieżącej chwili" — uważamy, iż zagadnieniu temu autor nie poświęcił ani dostatecznej uwagi, ani wnikliwej analizy, opartej na szeroko ujętym materiale. I dlatego w poznaniu tego trudnego problemu stoimy nadal na starym miejscu.

z. i.

DAJEMY NAGRODY

W dziwnych czasach teraz żyjemy. Gdzie się tylko człowiek obróci natychmiast proponują mu nagrodę. Muszę przyznać, że zwyczaj ten bardzo mi się podoba. Przejąłem się nagrodami. To też postanowiłem przyznać szereg nagród osobom, które potrafią wyjaśnić trapiące mnie wątpliwości i odpowiedzieć na kilka bardzo ważnych pytań.

Stanęliśmy w tym roku wobec niedoboru pasz. Ciekawy ten temat poruszył do głębi naszą prasę. W ciągu długiego czasu czytaliśmy w niej, że Polsce grozi głód, że jeżeli nie będzie paszy — to najpierw poumierają redaktorzy pism tych alarmujących wiadomości, następnie wszyscy ci, którzy się nadmiernie przejmują owymi alarmami.

Oczywiście największy głód grozi urzędnikom Ministerstwa Rolnictwa i R. R., którzy byli na tyle lekkomyślni, że do nieurodzaju pasz dopuścili. Przecież od tego jest Ministerstwo Rolnictwa, aby regulowało pogodę, i sprowadzało odpowiednie ilości deszczu choćby z Abisynii, cierpiącej na nadmiar opadów atmosferycznych.

Czytelnik miał bardzo emocjonującą lekturę na powyższe tematy, ale bardzo wątpliwe, czy czytelnik mógł urobić sobie pogląd, jakie jest właściwie położenie pod względem pasz w Polsce. Zagadnienie niedoboru pasz jest niewątpliwie bardzo ważne i na ten odcinek jest i powinna być zwrócona baczna uwaga. Ale po co stwarzać alarmującą atmosferę, która jedynie zaciemnia realny stan rzeczy oraz utrudnia przedsięwzięcie właściwych środków zaradczych pod względem zabezpieczenia się przed mogącym powstać niebezpieczeństwem na tle niedoboru pasz?

Jeżeli ktoś potrafi mi odpowiedzieć na to spędzające mi sen z oczu pytanie dostanie nagrodę w wysokości zł 2,50.

Nasze skarby wiedzy czerpiemy między innymi ze statystyki. Szczególnie ważną rolę odgrywa statystyka w życiu marzycieli. Dla idealisty - marzyciela stanowi ona źródło natchnień, statystyka — to dla niego przyczyna smutku i radości, przyczyna rozterki. Idealista - marzyciel nie ruszy się nigdzie bez statystyki, kładzie ją pod poduszkę gdy idzie spać, budzi się myśląc o niej.

Główny Urząd Statystyczny ogłasza rozmaite cyfry z zakresu życia gospodarczego. Dane naszej centrali statystycznej o położeniu rolnictwa opierają się przeważnie na opinii korespondentów rolnych. Dla marzyciela - idealisty dane te to rzecz bezsporna. Jeśli wszakże ktoś odpowie mi na pytanie jaka jest rozbieżność pomiędzy ogłaszanemi przez G. U. S. cyframi o licznych dziedzinach życia rolniczego — a opinią korespondentów, następnie — jaka jest rozbieżność pomiędzy tą opinią a zjawiskami przez korespondentów opisywanymi, oraz jaka jest rozbieżność pomiędzy cyframi podawanymi przez G. U. S. a rzeczywistością — dostanie ode mnie nagrodę w wysokości zł 2,30.

Już drugi rok żyjemy pod znakiem t. zw. poprawy gospodarczej. W takim okresie największą aktywność powinna wykazywać „inicjatywa prywatna". Przecież może ona czynić co się jej żywnie podoba nad rozbudową ośrodków wytwórczych. Jeśli ktoś odpowie mi na pytanie gdzie ta „inicjatywa prywatna" przebywa, co porabia, a jeśli znajduje się przy życiu — czy dobrze sypia — otrzyma nagrodę w wysokości zł. 20.—.

m. a.

[1]) Nie podzielamy tak pesymistycznego wniosku, jak nie godzimy się ze stanowiskiem o nieopłacalności produkcji hodowlanej.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.